



MAGDALENA SZPONAR

HURT LESS

„Kay,
Jej imię w moich ustach smakuje
jak najśodsza trucizna”.



MAGDALENA SZPONAR

HURT
LESS

Copyright © for the text by Magdalena Szponar
Copyright © for this edition by Wydawnictwo NieZwykłe, Oświęcim 2025
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Alicja Chybińska
Korekta: Katarzyna Chybińska, Wiktoria Garczewska, Natalia Szoppa
Skład i łamanie: Michał Swędrowski
Oprawa graficzna książki: Paulina Klimek
Projekt grafik na wewnętrzną stronę okładki: Karolina Karpińska (@unholy.confess),
Monika Pałka (@bluecloud_books)

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8362-860-8 · Wydawnictwo NieZwykłe · Oświęcim 2025
Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
✉ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
📘 Wydawnictwo NieZwykłe
📖 [wydawnictwoniezwykle](https://www.wydawnictwoniezwykle.pl)
✂ [Wyd_Niezwykłe](#)
🎵 [wydawnictwoniezwykle](#)

Dla wszystkich pieprzonych sadystów,
którzy znajdą jeden, jedyny malusieńki punkt,
by człowiek poczuł, że żyje.
Nienawidzę Was i kocham jednocześnie
PS Dzięki za naprawienie kolana
PS2 Nadal Was nie cierpię

A po drugie:
moim Szkodnikom, Bambocełkom i Mondziołkom,
których miałam zaszczyt uczyć.
Kocham Was i dziękuję Wam za każdą wspólną chwilę

OSTRZEŻENIE

Ta książka nawet w założeniu nie miała być uroczą młodzieżówką. Nie dostaniesz w niej słodyczy, a jedynie dwie poranione osoby. Kay i Maddox mają połamane serca, nie wierzą w siebie, muszą stawiać czoła problemom, a te przygniatają ich niczym najcięższe głązy.

Na kartach *Hurtless* znajdziesz sceny seksu, historię radzenia sobie z traumą oraz wręcz patologiczne relacje rodzinne. Jeśli nie jesteś gotowy zmierzyć się z tym, co przeszli bohaterowie, odpuść sobie lekturę. Twój komfort psychiczny jest najważniejszy.

Pamiętaj też, że nie jesteś sam, a za każdym kolejnym zakretem może na Ciebie czekać coś lepszego, coś naprawdę dobrego, dlatego zawsze warto iść dalej, choćby cały świat wmawiał Ci, że nie ma już nadziei. Ona zawsze jest. Czasami kryje się w jednym uśmiechu, czasami w splecionych palcach dłoni, a czasami w tych oczach wpatrzonych w Ciebie z wiarą, że dasz radę.

Bo dasz. Jesteś silniejszy, niż Ci się wydaje.

A kiedy dopadnie Cię ciężar trosk, usiądź na huśtawce i wyrzuć je wysoko, najwyżej, jak się da.



Prolog

Maddox

Edmonton, 2013 r.

Say your prayers, little one. Don't forget, my son, to include everyone.

Słyszę w tle pierwsze takty *Enter Sandman* Metalliki i choć płyta się zacina i pewnie dostaniemy niezłą burę za sięgnięcie po winyl pana Russela, nie żałuję.

Nie byłbym w stanie żałować niczego, kiedy gdzieś za sobą słyszę śmiech mojej najlepszej przyjaciółki, słońce grzeje mi kark, po którym od wysiłku spływa pot, a przede mną między dwoma drzewami czeka upragniony cel.

– Dawaj, McCrae, chcemy ten puchar! – dobiega mnie jej głos i zaczynam się szczyrzyć jak ostatni wariat.

– Trzynaście sekund do końca trzeciej tercji! – wydieram się. – Jordan Eberle przejmuje krążek i już pędzi przed siebie. Podaje

do Taylora Halla, a ten od razu puszcza go dalej do... Maddoxa McCraea, a ten... – Biegnę dalej, a kij obija mi się o łydkę. Mimo to nie zwalniam, uderzając w piłkę z całą siłą, jaką mam. – Strzela! Strzela i swoją mocą przerywa siatkę! Niesamowite! Nafciarze wygrywają Puchar Stanleya cztery do jednego!

Z uniesionymi rękoma robię kółko wokół drzew, a gdzieś w oddali rozlegają się chichot i brawa. Śmieję się i pędzę wprost do Kay, aż opadam tuż obok niej na trawę. Dyszę wściekle ze świadomością, że muszę popracować nad kondycją, ale kompletnie mi to nie przeszkadza w tym, by dalej się śmiać.

– Ciągłe kibicujesz Nafciarzom, nawet jeśli w rzeczywistości nie wygrywają – słyszę i czuję, że Kay szturcha mnie w ramię.

– Jestem lokalnym patriotą, nic na to nie poradzę. – Unoszę się na łokciu i spoglądam w jej roześmianą twarz. – I zobaczysz... Kiedy już do nich dołączę, poprowadzę ich do finałów i własnoręcznie uniosę puchar.

Uśmiecha się do mnie pięknie, a zaraz potem mówi coś, w co wierzę całym sercem, nawet jeśli mamy po dziesięć lat i siano w głowie.

– Zrobisz to, Maddy. – Pewność w jej głosie sprawia, że szczerzę się jeszcze mocniej.

– A ty będziesz tam ze mną, Kayland Russel – odpowiadam, unosząc brew, a ona jak zwykle mruży wściekle oczy, bo nie cierpi, kiedy zwracam się do niej pełnym imieniem, tak jak robi to jej ojciec. – Dobra, poprawka... – Uśmiecham się. – A ty będziesz tam ze mną, Brawurko.

Kay trzepie mnie w ramię, ale drga jej kącik ust, więc wiem, że tak naprawdę nie jest zła.

– Nie cierpię cię – mówi, a ja wybucham śmiechem i z powrotem kładę się na plecach.

– Nieprawda, Bra...

– Och, zamknij się już!

Chichram się cicho, ale po chwili się uspokajam i wypuszczam głośne westchnienie z gardła. Gdzieś za nami kończy się piosenka, a gramofon jej ojca wydaje ten specyficzny dźwięk, ale nie jest on jednak drażniący. Wręcz przeciwnie: sprawia, że czuję, jakby wszystko znalazło się na swoim miejscu.

Zerkam w bok i dostrzegam, że Kay leży wpatrzona w niebo. Jestem pewien, że lada moment jej myśli, niczym te obłoki nad nami, popłyną w zupełnie nieodpowiednie rejony – zawsze tak się dzieje, a ja zawsze ją wtedy stamtąd wyciągam.

– Dlaczego myślisz, że będę z tobą, kiedy odbierzesz Puchar Stanleya? – pyta mnie nagle.

Z pewnością czuje na sobie moje spojrzenie, jak zawsze, ale teraz na mnie nie patrzy, choć chciałbym, żeby to zrobiła. Wtedy zobaczyłaby szczerość w moich oczach.

– Bo jesteś moją przyjaciółką, Brawurko – odpowiadam pewnie. – I cokolwiek się wydarzy, zawsze nią będziesz.

– Nie znasz przyszłości, Maddy – szepcze.

– Ale znam nas. – Nie waham się ani chwili, a te słowa prawie same wypływają z mojego gardła. – I to mi wystarcza.

Na twarzy Kay błąka się uśmiech, a kiedy słońce przebija się pomiędzy chmurami, rozjaśnia jej blade policzki. W końcu odwraca głowę i spogląda na mnie tymi swoimi prawie czarnymi, lekko skośnymi oczami.

– Powiedz prawdę, McCrae – mówi cicho. – Po prostu wiesz, że ktoś będzie cię musiał poskładać i dlatego mnie potrzebujesz.

Wyszczerczam się po raz kolejny.

– Oczywiście, Brawurko, tylko o to mi chodzi – kłamię, a ona prycha pod nosem.

Chwilę później wraca do obserwowania nieba, a ja wsuwam przedramię pod głowę i przymykam oczy. Wokół nas jest cicho i spokojnie i choć wiem, że to nie potrwa wiecznie, cieszę się tym, co mam.

– Spełnimy nasze marzenia, Kay – mamroczę po jakimś czasie. – Ja doprowadzę Edmonton Oilers do finałów, a ty zostaniesz światowej sławy chirurgiem.

– Właśnie to zrobimy, Madd – odpowiada. – Bo zwycięża się siłą, a my jesteśmy silni, prawda? – dodaje cicho. Tak cicho, że ledwie ją słyszę.

– Zwycięża się siłą – powtarzam, cytując ulubioną bajkę. To właśnie dlatego zacząłem ją nazywać Brawurką i to już chyba nigdy się nie zmieni. Mimo tego sentymentu cały się spinam, bo dobrze wiem, co pobrzmiwa w jej głosie, i jak zawsze czuję wściekłość. Wściekłość, którą muszę opanować, bo jestem tylko gówniarzem i jedyne, co mogę zrobić, to zostać przy Kay, kiedy mnie potrzebuje.

Nagle czuję jej dotyk na mojej dłoni leżącej między nami. Kay spleta nasze palce, a ja bezwiednie lekko zaciskam swoje.

– A jeśli ci jej zabraknie – zaczynam – to możesz wziąć trochę mojej siły.

– Wtedy nie będziesz już tym dużym i mocarnym hokeistą, Madd – śmieje się i szturcha mnie łokciem.

– Mojej siły wystarczy na nas dwoje, Brawurko – obiecuję, a gdzieś z oddali dobiega mnie trzask drzwi. – Pamiętaj o tym, dobrze?

Rozchylam powieki i zerkam w bok, by dostrzec, że Kay już wbija we mnie spojrzenie. Uśmiecha się lekko, niepewnie, a potem otwiera usta. Nie zdąży jednak nic powiedzieć, bo w tej samej chwili słyszymy niski i dudniący głos jej ojca.

– Kayland! Ile razy ci powtarzałem, że masz nie dotykać gramofonu!

Uśmiech na jej twarzy gaśnie jak zdmuchnięta zapałka, a ja zaciskam zęby, bo zupełnie nad tym nie panuję.

– Lepiej już idź.

– Jesteś tego pewna?

W jej oczach widzę, że nie, a mimo to kiwa powoli głową. *Tak będzie lepiej.* Wydaje mi się, że właśnie te słowa posyła mi

samym spojrzeniem. Czasami nie potrzebujemy więcej, tak dobrze się znamy.

Wzdycham.

Teraz może i tak będzie lepiej.

Ale nadejdzie taki dzień, kiedy nazbieram wystarczająco dużo siły, że nie zostanę zmuszony uciekać od mojej najlepszej przyjaciółki, gdy wszyscy zrozumieją, że nic i nikt nie zdoła nas rozłączyć.

– Czasami zwycięża się rozumem, Madd – szepcze jeszcze Kay, a ja kręcę głową.

– To słowa Bójki, a nie twoje – mruczę niezadowolony, a mimo to ona posyła mi uśmiech.

Nienawidzę tego uśmiechu. Nienawidzę, że jest tak bardzo przygaszony, tak... poprawny. Właśnie tak Kay ma się uśmiechać przy ojcu – powściągliwie. A ja uwielbiam, kiedy śmieje się w głos, kiedy od tego boli ją brzuch, a z jej oczu płyną łzy.

– Zobaczymy się jutro? – pytam, choć znam odpowiedź.

Kay kiwa głową i wstaje z trawy, a ja idę w jej ślady. Za nami słychać odgłosy dobiegające z wnętrza domu i gdy zerkam za siebie, widzę, że moja najlepsza przyjaciółka wchodzi do środka ze zwieszoną głową. Zaciskam zęby mocniej i podbiegam do wysokiego płotu odgradzającego domy naszych rodziców, a potem wspinam się na niego z odrobinę mniejszym wysiłkiem niż kiedyś. Nigdy nie przyznałbym się Kay, że ćwiczę podciąganie tylko po to, by móc uciekać z jej podwórka i wracać na nie sprawniej i szybciej.

Nigdy nie przyznałem się jej do wielu rzeczy.

Ale mamy przed sobą całe życie, a ja w końcu znajdę sposób, by jej ojciec zaczął mnie akceptować. W końcu zasłużę na jego przychyłność.

Bo nikt i nic nie może sprawić, że ja i Kay przestaniemy się przyjaźnić.



Rozdział pierwszy

Maddox

– Nikt i nic nie może sprawić, że przestaniemy się przyjaźnić – bełkocze Micah, a ja zastygam na moment, rażony wspomnieniem, o którym zdecydowanie nie powinienem myśleć.

Nie dzisiaj.

I jeśli mam być szczery – nie... kiedykolwiek.

Poprawiam chwyt w pasie, żeby ten głąb nie osunął się na chodnik, chociaż szczerze mówiąc, jemu się to należy. Gdyby obił sobie tę piękną mordę, ja rzadziej musiałbym go zgarniać z imprez. I nie zmuszałby mnie, abym grał jego skrzydłowego podczas większości z nich. I wysłuchiwał jego pieprzonej gadki na podryw, bo od niej chce mi się wymiotować.

Tak, rozbicie Micah Cohena o chodnik zdecydowanie byłoby dobrym rozwiązaniem.

Gdybym nie kochał tego kretyna jak własnego brata.

– Zamiast pieprzyć od rzeczy, trochę byś mi pomógł – stękam, bo może i jestem dużym skurczybykiem, ale kumpel prawie mi dorównuje, a moje kolano... cóż, nie kolanuje tak, jak powinno.

– Chciałem pieprzyć, to mi nie pozwoliłeś – marudzi, ale brzmi to bardziej jak „siałem przyć, tomini powaliłyś”.

W następnej chwili totalnie przestaje współpracować, bo sięga rękoma do oczu i trze je jak opętany, przez co rzeczywiście o mało go nie upuszczam.

– Jebane soczewki.

Parskam śmiechem. Micah zazwyczaj nie klnie, chyba że absolutnie wymaga tego sytuacja. Na co dzień wypowiada się tak cholernie mądrze, że wprawia ludzi w zakłopotanie, bo przecież widzą w nim tylko ładną buźkę i szerokie bary. Nikt nie dostrzeża, że pod tą powierzchownością złotego chłopca i playboya w jednym facet jest tak naprawdę wrażliwcem.

W końcu studiuję literaturę. I tak, to wiele wyjaśnia.

Jakimś cudem wyłądownaliśmy w jednym pokoju w akademiku i obaj szybko mieliśmy dość tamtej atmosfery. Ja skupiałem się jedynie na hokeju, a Micah uwielbiał czytać w ciszy, szybko więc zdecydowaliśmy się przenieść do Elsey's House w północnym kampusie znajdującym się w malowniczej dzielnicy Garneau. Mieliśmy stąd blisko na zajęcia, w dodatku panowały tam cisza i wygoda, a kiedy w mojego kumpla wstępował imprezowy zwierz, nie musiał tłuc się przez pół miasta, bo miasteczko akademickie znajdowało się ledwie przecznicę dalej. Razem z nami mieszkało jeszcze dwóch kumpli, ale oni spędzali wakacje u rodziny, nie to co my.

Ani ja, ani Micah nie tęskniliśmy za domem.

Jeśli chodziło o mnie, to przestałem go odwiedzać cztery lata temu. Wtedy przebywanie na Windermere Drive straciło jakikolwiek sens.

Moje warunki mieszkaniowe stanowiły w tej chwili rozwiązanie idealne. Oprócz tych wszystkich momentów, kiedy musiałem zgarniać pijanego przyjaciela z kolejnej popijawy.

Mogłem co prawda zamieszkać z moim bratem Atticusem w jego apartamentowcu w Downtown – zresztą kumple z jego kapeli rzeczywiście myślą, że to także moje mieszkanie, bo często mnie tam widują, a ja nie mam ochoty wyprowadzać ich z błędu – ale śródmieście za bardzo mnie przytłaczało, by spędzać tam każdy wieczór. Gwaryny plac Churchilla, na którym przez cały rok odbywają się różnego rodzaju imprezy, kasyno, tętniące życiem nocne kluby i stylowe restauracje. To dla mnie zbyt wiele, nawet jeśli w tej samej dzielnicy mieściła się hala hokejowa Rogers Place.

No dobra, trochę też przytłaczała mnie obecność własnego absorbującego brata. Z dwójki rodzeństwa to ja jestem tym cichym i spokojnym, a Att? Cóż, nie bez przyczyny Faith nazwała go Zwierzakiem. Gość potrafi niezłe wymiatać zarówno na scenie, jak i poza nią, a w dodatku wokół niego wciąż kręci się rzesza fanek, bo tyle co z Gunnerem i resztą kapeli wyszli z cienia i stali się rozpoznawalnymi rockmanami.

I choć Att nadal uparcie twierdzi, że mieszkam z nim (w końcu zaadaptował mi część swojego apartamentowca), to jednak ja wolę to, co mam teraz.

Ciszę i spokój.

– Proponuję, żebyś ich nie ściągał, zanim nie dotrzemy do domu. – Odciągam dłoń Micah od jego twarzy, na co on burczy coś niezrozumiałego.

Na szczęście dochodzimy już do mojego auta, więc mogę liczyć na to, że ten kretyn nie wydlubie sobie oczu.

– Wszystko przez ciebie – słyszę, kiedy prawie wrzucam go na siedzenie pasażera.

Opieram się z westchnieniem o dach i parskam:

– Przeze mnie? Trzeba było się nie zakładać.

Wyszczierzam się, ale Micah nawet tego nie widzi, bo mości się wygodnie i przymyka oczy.

– Dupek – mamrocze pod nosem.

Kręcę głową z niedowierzaniem i zamykam ostrożnie drzwi, żeby nie odciąć mu czegoś, co jeszcze może się mu przydać. Obchodząc auto, myślę o zakładzie ustanowionym jeszcze przed draftem, że Micah wytrzyma miesiąc bez zaliczenia papienki.

Spoiler alert: nie wytrzymał.

W związku z tym musiał kupić sobie fioletowe soczewki i nosić je na imprezach przez całą resztę wakacji.

To naprawdę zabawne, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że gość z wyglądu jest niepokojąco podobny do pewnego bohatera serii fantasy.

Do kolesia wzdycha połowa żeńskiej części populacji w wieku od osiemnastu do dwudziestu kilku lat, nawet jeśli nie znają tych książek. Arty z wizerunkiem tego całego *księcia* śmigają we wszystkich socialach, więc naprawdę niewiele osób nie wie, o kogo chodzi.

W dodatku przynajmniej kilka razy słyszałem, że co niektóre dziewczyny zwracają się do Micah imieniem owego Rhysanda.

Niezmiernie mnie to bawi, jeśli mam być szczery. Tym bardziej kiedy się okazuje, że te same laski – mające, delikatnie mówiąc, niewybredne fantazje seksualne, które Micah z przyjemnością spełnia – dostają na punkcie mojego kumpla obsesji.

Tak, oglądanie tego jest świetną rozrywką.

– To ty dzwoniłeś, głupku – przypominam mu, kiedy już siadam za kierownicę.

Nie odpowiada, a kiedy na niego zerkam, zastanawiam się, czy przypadkiem nie zasnął. Wzdycham, bo dociera do mnie, że jeśli przyjdzie mi taszczyć tego idiotę na drugie piętro naszej kamienicy, to chyba dostanę pierdolca.

Albo dostanie go moje kolano.

Odruchowo przesuвам po nim ręką i syczę cicho, czując, jak znów spuchło. Jednocześnie w moim sercu budzi się panika na myśl, że naprawdę nie mogę rozwalić sobie nogi. Nie teraz. Nie... prawdę mówiąc – nigdy.

Odpalam silnik i włączam się do ruchu, ale robię to wszystko mechanicznie, bo myślami krążę wokół jednego tematu.

Wokół hokeja.

Poświęciłem całe swoje życie, żeby znaleźć się w tym miejscu, w którym właśnie jestem. Od dziecka marzyłem, by przejść na zawodowstwo. Nie zliczę godzin spędzonych na lodzie. Nie zliczę treningów mających sprawić, że stanę się najlepszym napaśnikiem, jakiego widziało NHL. Bo wciąż trenuję.

To znaczy... nie w tej chwili. Teraz pozwalam nodze odpocząć, ale czuję też, że to za mało, że nie będę gotowy na rozpoczęcie sezonu, że trener już podczas pierwszego spotkania treningowego, kiedy wyjadę na lód, zauważy, że coś jest nie tak, i stracę szansę na to, by spełnić swoje największe marzenie.

Zostały mi niecałe trzy miesiące, by coś zrobić, ale w tej chwili nie wiem nawet, co spowodowałoby, że wrócę do pełnej sprawności.

To znaczy... wiem. Wiem, że potrzebuję diagnozy, a potem zapewne fizjoterapii, ale...

Ale nikt nie weźmie do pierwszego składu chłopaka z kontuzją. Bo to właśnie mi się przydarzyło. Pieprzona kontuzja.

Głęboko nabieram powietrza ustami, bo czuję, że jakaś niewidzialna obręcz zaciska się na moim sercu. Jednocześnie umysł projektuje mi wizję szeregu konsekwencji, które spotkają mnie, kiedy prawda wyjdzie na jaw.

Nie dostanę się do pierwszego składu Edmonton Oilers. Być może w ogóle ze mnie zrezygnują. Wszystkie lata walki o spełnienie marzenia pójdą się jebać. Stracę wsparcie programu Golden Bears and Pandas, oferowane najlepszym sportowcom University of Alberta. Pozostanie mi jedynie dokończenie studiów,

ale bądźmy szczerzy, mimo wszystko kierunek coachingu i psychologii sportu nie stanowi szczytu moich ambicji. Wybrałem go tylko dlatego, żeby mieć furtkę. W końcu wielu hokeistów kończy karierę szybciej, niżby chcieli.

A niektórzy nawet jej nie zaczynają, myślę z przekąsem.

Zatrzymuję się na skrzyżowaniu z Saskatchewan Drive i czekam na zmianę świateł. Z Kasbaru do naszego mieszkania nie jest daleko, bo to raptem niecałe pół godziny spacerem, ale kiedy tylko Micah do mnie zadzwonił, wiedziałem, że piesza wycieczka to ostatnie, co mogę od niego wymagać. Kocham swojego forda F-150 i nienawidzę jednocześnie. Uparcie powtarzam, że skradł moje serce nie jadowitym zielonym kolorem i zajebiście wielkim napisem „The Beast” na boku, a cudownym V8 pod maską i mocą prawie sześciuset koni mechanicznych. Ta miłość ma jednak gorzki posmak, bo tak naprawdę dostałem go od rodziców twierdzących, że uczucia do dzieci przelicza się w banknotach, a nie w spędzonym z nimi czasie. Ani ja, ani Atticus nigdy nie otrzymaliśmy od nich innego wsparcia niż to finansowe, niestety.

Dzisiaj jednak naprawdę nie miałem ochoty nigdzie się wybierać. Szczerze mówiąc, nie mam na nic ochoty od zakończenia lipcowego obozu szkoleniowego dla nowych zawodników Nafciarzy.

Ta, właśnie wtedy rozpieprzyłem sobie kolano, ale nie chcę nawet o tym myśleć.

Choć i tak wciąż o tym myślę, oczywiście.

W końcu docieramy do domu, a po dobrym kwadransie udaje mi się w końcu zatargać Micah do jego sypialni. Choć jego imprezowanie wkurza mnie ostatnio coraz mocniej, nie mogę zostawić tego idioty. Ostatecznie zostałem mu tylko ja.

– Stary... – mamrocze pod nosem, kiedy ściągam mu buty i wpycham go głębiej na łóżko.

Nie odpowiadam, i tak nie będzie pamiętał tej rozmowy.

– Poznałem dzisiaj zajebistą laskę – dodaje z westchnieniem i tym razem brzmi już odrobinę wyraźniej.

– Jak w każdą sobotę – mamrocę.

– Ma piękne, prawie czarne oczy – rozmarza się, a ja kręcę głową, śmiejąc się cicho.

Mój kumpel zakochuje się na każdej imprezie, więc nie potrafię brać już jego słów serio.

– Właśnie wróciła do miasta – kontynuuje, a ja zbieram się już do wyjścia. – I ma takie śmieszne zielone włosy. – Prycha pod nosem, a ja gaszę światło w jego pokoju i wychodzę na korytarz.

– Śpij, głupku – mówię jeszcze, a w tej samej chwili dociera do mnie odgłos jego chrapania.

Kieruję się do siebie, a w moich wspomnieniach bezwiednie pojawia się z pewnością inna para prawie czarnych oczu, w których odbijały się wyrzuty sumienia.

I chyba do końca życia nie zapomnę tego widoku.